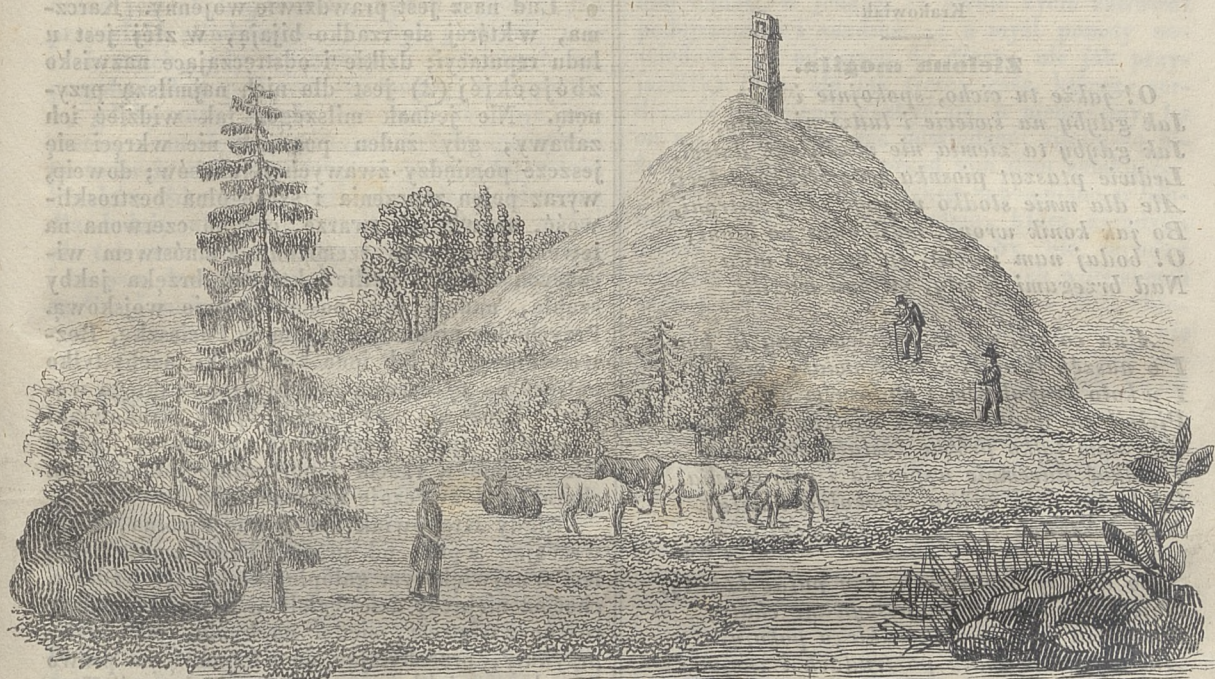


Przyjaciel Ludu.

ROK SIODMY.

No. 13.

Leszno,
dnia 26. Września 1840.



Mogilę Wandy pod Krakowem.

Pamiętki z Krakowa.

Opis

sypania mogiły Tadeuszowi Kościuszce
pod Krakowem

roku 1820., dnia 16. Października.

(Dalszy ciąg.)

Z listu pisanego dnia 27. Grud. 1827. r.

Nie dawno biegłem sobie polami, z których od dawna zebrano już obfite plony: wiatr szumił jesienny, a na czystym niebie przebiegały szybko poszarpane płowe chmury, jak stado olbrzymich orłów, lecące na zdobycz, a wszystkie biegly ku niebieskim Karpatom, a zdawało mi się, że siadały sobie na ich śnieżystych szczytach. Jak tęskny obraz dla duszy i dla oka, — za mną miasto jak wianek ró-

źnobarwny (1) wynurza się; po prawej stronie błękitne masy karpaccich gór, oddzielone tylko srebrnym pasem szerokiej Wisły, a przedemną samotna i zielona mogiła Wandy.

(1) Ktokolwiek szedł do Krakowa ze strony wschodniej od wsi Mogiła, przez obszerne równiny pokryte zbożami, przekonałby się, że miasto i zamek krakowski ze swojemi dachówkami, wieżami rozmaitej wielkości, złoceniami i t. d., wydaje się złudzonemu oku, jak wianek słubny Krakowianki, wynurzający się wśród złotych fal bławatów i zboża. Porównanie to wyjąłem całkowicie z gminnej pieśni, której pamiętam mały urywek, jak go słyszałem od mojej piastunki:

Przyjechali deputaci (Konfederaci) z wojny,

I szukali stancyi spokojnej,

I znaleźli stancję spokojną,

Pytali się o dziewczynę strojną:

Kłaniam, kłaniam, pani matko nasza,

A gdzie jest córusienska wasza?

Nie widzieliście jej to w polu,

Co wybierała pszeniczkę z kąkolą.

Wyszedłem na szczyt mogiły, wielki słup czworograniasty, kamienny, wznosi się na nią: nie wiadomo znaczenia tej kolumny i w jakim czasie jest postawiona. Jakie myśli i marzenia zajmowały i serce i duszę moję, trudno wyrazić, — one były tak zmieszane i niepewne, jak przyszłość, jak historia bohaterki dziewczyny, co śpi od wieków pod tą wyniosłą mogiłą. —

Na mogile Wandy.

Krakowiak.

Zielona mogiła.

*O! jakże tu cicho, spokojnie i miło,
Jak gdyby na świecie i ludzi nie było,
Jak gdyby ta ziemia nie miała już dzieci,
Ledwie ptaszka piosnka w te strony doleci.
Ale dla mnie słodko marzyć w tej ustroni,
Bo jak konik wrony, myśl buja po błoni;
O! bodaj nam święta, spokojna i miła
Nad brzegami Wisty, zielona mogiła.*

*A na co mi, na co, z dziewczyną tu bywać,
I o naszej Wandzie Krakowiaki śpiewać
I wkoło krogulczem i radosnym okiem
Pieścić się wspaniałym i wielkim widokiem,
Gdy nam tylko próżne zostały marzenia,
I szukać daremnie wsparcia i schronienia.
O! bodaj nam święta, spokojna i miła
Nad brzegami Wisty zielona mogiła.*

*Bo dzisiaj czy zamek, czy pałac bogaty,
Nawet wiejskie słomą poszywane chaty,
Niedadzą już duszy słodkiego pokoju,
Ani wytchnąć ciału po trudach i znoju.
Spijże sobie Wando w swym ojczystym grobie,
Cześć twojej pamięci, wieczna chwala tobie.
A nam będzie święta, spokojna i miła,
Nad brzegami Wisty zielona mogiła.*

*O! spijcie królowie w piramid głębinie,
Lub w kamiennych grobach tam, gdzie Tyber
płynie;
Większe groby czeka nasze sławne plemię,
Stawa ich obleci na około ziemię,
Będą mieć mogiły, jak wysokie Tatry,
Stawa ich polecą, jako morskie wiatry;
A dziś dla nas święta, spokojna i miła
Nad brzegami Wisty, zielona mogiła.*

*Widzieliśmy tylko jej wianek,
I myśleliśmy, że krakowski zamek.*

*Kłaniam, kłaniam, Mości panie śmiecie,
A coż to masz w ogródku za ziele? —
Patrzyłbyś na konika w grzędyczku,
Nie mojego ziołka w ogródeczku.*

Deputatami lud nazywał Konfederatów; rozmaicie on przekreślał to nazwisko.

Lud śpiewa Krakowiaki, tak w polu przy ciężkiej pracy, jak w karczmie przy wesołej wiejskiej muzyce. W tańcu szczególniejszy ogień i życie zapala tego wieśniaka, gnębionego od wszystkich prawie, którym jak prawdziwy niewolnik podlegać musi. Przy muzyce, po kieliszku wódki, nie zna już nikogo nad sobą; z zadziwiającą zręcznością, a nawet wdziękiem, tańczy Krakowiaka, zakręca wokółko zwinne chołubce, ściska dziewczynę, a podkówek calowe sypią ognia, jak zamek u rusznicy; biada, kto mu natenczas wejdzie w drogę.

Lud nasz jest prawdziwie wojenny. Karczma, w której się rzadko bijają, w złej jest u ludu reputacyi; dzikie i odstręczające nazwisko zbójcekiej (2) jest dla nich najmiłszą przynętą. Nic jednak miłszego, jak widzieć ich zabawy, gdy żaden poswark nie wkręci się jeszcze pomiędzy żwawych Krakusów; dowcip, wyraz pełen znaczenia i szczególna beztrudliwość, ożywia ich twarze, czapka czerwona na lewem uchu, pas rzemienny z mnóstwem wiszących kółek i pętlów, którymi brzęka jakby szablą, nadają mu postać prawie wojskową. Przychodzę niekiedy z miasta na Pocięszkę, Rozwiesającą (3), lub inne karczemki, ażeby tylko patrzeć na tę dziwną ochotę krakowskiego wesela. Któż nie zna naszej opery Krakowiaki i Goralę; opery prawdziwie narodowej, gdzie tak wiernie a razem i poetycznie oddany jest charakter i zwyczaj naszego ludu.

Nigdy Krakowiak nie jedzie zwolna, bądź wracając z pola od pracy, bądź z pastwiska, leci w największym galopie; doskonale jeździec, chociaż niekiedy dziesięcioletni chłopiec, pędzący równo z wiatrem, siedzi na koniu, jak gdyby przykuty, przechylając się z fantazyą na prawo i na lewo, jakby w tańcu, a ciągle nući Krakowiaki głośno, przeciągle i harmonijnie. — O gdybyś widział, jak nieraz wśród pól niedościgłych okiem młody parobek na swoim małym i lotnym koniku, a obok niego do kilku nastu koni w jednym szeregu, leci jak wiatr, tam ci się ukaże wśród zbóż jak wśród fali; ówdzie zniknie w parowie, znowu zamajaczy, aż zginie w oddali, i tylko długo słyszeć będziesz wesołą, a razem i tęskną piosenkę, która

(2) Karczma tak nazwana na trakcie z Krakowa do Królestwa: dawniej rzadko trafiało się, ażeby co niedziela nie wyniesiono z niej choć jednego trupa, zabitego w powszechniej bitwie; karczma jednak ta była w największej dla tego wziętości, a dotąd zatrzymała nazwisko zbójcekiej.

(3) Pocięszka i Rozwiesająca, dwie karczemki, nazwane od tego, że powszechnie wieśniacy z województwa krakowskiego, wracając z Kleparza po sprzedaniu zboża, tam bawią się długo i tańczą; ich ubiory prawie kompletnie krakowskie, ochoczość, i szczególna zgoda, miły przedstawiają widok; rzadko kiedy trafia się tam bitwa lub jaka kłótnia; piękna sztuczka narodowa jest ułożona, nie pomnę przez kogo, pod tytułem: Wesele na Pocięszce.

zwolna skona zmieszana z ciąglem świergotaniem koników polnych, lub w szumie gęstych wierzb. Nic więcej nie zajmie wiejskich chłopów, jak piękny koń; jeżeli staniesz przed karczmą wśród wioski, tłum chłopców otoczy twoje konie; będą je głaskać, pieścić się zniemi, i długo po twoim odjeździe ścigać je będą oczyma.

I otóż opisałem ci nasze mogiły. Krakusa i Wandy wznoszą się wokolicy, sam nie wiem dla czego, pięknej, lecz smutnej, jak nasza przeszłość. Mogiła zaś Tadeusza Kościuszki otoczona jest okolicą wesołą, piękną i głośną, jak przyszłość młodzieńca. Tu był początek marzeń moich, gdy wychodząc z dzieciennych lat, przychodziłem pod cień tej mogiły spoczywać; o, gdyby tutaj mogło być ostatnie moje marzenie, — tu słodko, spokojnie byłoby spoczywać po śmierci; niska i pozioma moja mogiła, wśród krzaków sikornika, całkiem byłaby nieznaną dla ludzi, ale obok mogiły wielkiego męża; ale też same kwiaty okrywałyby ją co wiosna, i ten sam dzwonek pustelnika co wieczór dźwięczałby i mnie i Jemu.

Posąg z marmuru Ś. Wincentego a Paulo.

Gdy wszystkie niemal Europy narody zajęte są w czasach obecnych wystawianiem pomników dla mężów, którzy się wśród ziomków swoich odznaczyli, lub szczególniejsze jakie dla ludzkości położyli zasługi; Francuzi oglądali na wystawie sztuk pięknych w stolicy swój roku bieżącego, statwę Świętego Wincentego a Paulo dłuta P. Ruggi. Wystawia ona świętego męża, prawdziwą miłością Boga i bliźniego gorejącego, jako opiekuna sierót i opuszczonych, z wzniesionem w niebo okiem, trzymającego na jednym ręku niemowlę zasypiające, drugą rękę podającego dziecięciu, tulącemu się pod płaszcz drugiego rodzica swojego. Posąg ten przeznaczony jest dla kościoła M. Magdaleny, aby przypominał bogobojnego, i w poświęceniu się dla dobra bliźnich żadnych granic nieznającego męża, którego czcigodne imię po wszystkich krajach cierpiąca ludzkość, na łonie synów i córek jego duchownych, ulgi i pociechy doznając, błogosławi. Życie Ś. Wincentego a Paulo znajdzie Łaskawy Czytelnik w Przyj. ludu r. I., T. I., N. 12., str. 95.

Słobodyszcze, powiatka,

przez

Michała Czajkowskiego.

(Raniec.)

Po kilkunastu dniach choroby, Anna wstała z łoża, zachwycająca tą niemocą, co to nie-

wiastrę na pół odrywa od ziemi, i zawiesza ją niejako między ludźmi a aniołami nieba; pięknie jęć było, uroczym z tym bladym licem, z tym zatroskanem okiem, z tą kibicią wiotką, chwiejącą się, co to się zdaje od najmniejszego wiatru walić; patrzeć na te kroki niepewne, nieśmiałe, a tak lekkie, jakby ona cała była z puchu zwiana — patrzeć na tę piękność omdloną, cierpieniem i tęsknotą, ach, trzeba było ją kochać — ona zdawała się gnać do oka i do myśli z prośbą o opiekę. Jakubowski ją kochał, jak dziecko ją piastował, życieby dla niej oddał, a jednak to swoje życie zatrzymał podejrzeniem i zazdrością; a myśl pomsty nawiedzała go od czasu do czasu, nie jak przyjaciółka luba, ale jak trętny gość, którego serdecznie pragniemy pozbyć się, a niemożemy, bo on ma wolę, aby nas odwiedzać, silniejszą niżeli my mamy, aby przed nim dom zamknąć.

Jużby zwyczajem ludzkim zapomniano w Słobodyszczach o tej przygodzie, która zrządziła śmierć watażki Semena, gdyby nie mnodzy więźniowie cierpiący w podziemnych więzieniach zamku. Pan na nich się uwziął. — Pod chłostą w kajdanach poumierają, jeśli prawdy nie powiedzą, a oni cierpieli i milczeli. Przed panią wzbroniono było o tym mówić, tak kazał pan, a wara, nieszczęście, jego rozkaz przekroczyć. Anna o niczem niewiedziała, ale gdyby i wiedziała, brakłoby jej odwagi błagać męża, bo trzebaby było odkryć tajemnicę długo tajoną, nie z potrzeby, i ona tak była niewinna, jak przed widzeniem Dymitra, ale przez pustą obawę, przez pusty wstyd. Niewiasta przestępna czynem ma zawsze więcej i śmiałości i wybiegów, jak ta, co zawiniła myślą tylko.

Już dochodziła wieść, że panowie hetmani koronni i litewscy zbierają wojska na poskromienie buntów niewiary Chmielnickiego, na wypędzenie nieprzyjaciół z lackiego kraju, het precz za Doniec, za nizowskie stępy; ale to była tylko wieść, pan Chmielnicki biesiadował w Perejasławiu, a kozackie pułki stały spokojnie po swoich leżach. Gadano w prawdzie, że dziady z torbami chodząc po jałmużnie, rozdawali między lud Boży lackie pieniądze, że lirnicy grali i śpiewali dumki o królach polskich, a guslarze opowiadali o dawnych i dobrych czasach, kiedy Kozacy z Lachami byli nieraz dzielną bracią, a lacki król ich ojcem; ale to tylko gadano, każdy to słyszał od tego, co sam od kogoś słyszał, a nigdy nie trafiano na pierwszego dawcę tych rzeczy.

W Słobodyszczach w zamku wszystko było po staremu; żona chora, mąż ponury; on nieśmiało zapytał o prawdę, ona nieśmiała prawdy powiedzieć, i oboje cierpieli.

Była to sobota, dzień matki dziewicy; po pięknej i jasnym słońcu nastał wieczór, księżyc zaszedł zarania, ani słoty, ani wiatru niezapowiedział, ale zarania się schował, i na



Ś. Wincenty a Paulo.

niebie było ciemno, ale taka cisza w powietrzu, iż w zamku słyhać mruczenie hnyłopiatowej wody.

Już oboje państwo ucałowali, upieścili małą dziecinę, i spojrzeli na siebie, i Anna podumała: czemu ja tak kochać nie mogę męża, jak kocham mojego syna? Jakubowski pomyślał: czemu ona tak mnie nie kocha, jak kocha moje dziecinę, a ja tak ją kocham! Wtém wpadł zadyszany setnik, i zawiódł pana na tajemnicę do drugiej komnaty.

„Ojcie pulkowniku, po naszych siółach chłopie się pobuntowali, z Tryhur óma ludu ciągnie na zamek, mówią, że na ich czele Dymitr Mohyla, a z nim księza Bazylianie.“

Jakubowski skłinał głowę. „„To nic, cicho, chodź ze mną!““ I wyszedł dawać rozkazy.

Niebawem wrócił, cierpka boleść, i niepokój skrzyżowały się na jego twarzy, w oczach była surowa ponurość, wziął za rękę żonę.

„Anno chodź, proszę, chcę z tobą pomówić!“ i prowadził ją do swojej komnaty; a ona szła, jak pajęczyna z wiatrem, poddawała się jego woli.

Już w komnacie oboje siedli na wezglówiu naprzeciw wizerunku Jeremiego, okrytego na

nowo czarną kitajką. Anna tak drżała, że musiała się oprzeć o ścianę, a jemu tak jęł żal, iż słowa zamarły na ustach; nareście zrobił na sobie wysiłek, wstał z miejsca, i postawił krok ku przeciwniej ścianie i zatrzymał się.

„Anno, Anno, powiedz prawdę! — to mi nęło —“

Wtém kilka strzałów huknęło na dworze, Anna schwyciła się za nogi: „Ach, to on!“

Jakubowski niewyskoczył z komnaty, niebiegł do żony, tylko szybko zbliżył się do przeciwniej ściany, zerwał kitajkę z Jeremiego obrazu.

„Niewierna, patrz!“ —

Ona na wezglówiu padła, załamała ręce. „Tam, tam — to on, to on — mężu — Dymitrze!“

Jakubowskiemu pociemniało w oczach, gwałtowna rozpacz zamilkła na chwilę, a zemsta wołała o swoje, wychwycił miecz z pochwy, i stanął nad żoną: „Niewierna! niewierna!“ a ramię mu zakostniało; miał wolę, a nie miał siły spuścić miecz na tę piękną szyję; wuszech mu szumiało, a nie słyszał hucznych i gęstych strzałów i przeraźliwego wrzasku na dziedzińcu: „zdrada! zdrada! — ognia! palić!“



Posąg S. Wincentego a Paulo.

wzrach mu iskry latają, a nie spojrzal, że pod
słaym zamkiem się rzeza, do komnat wpierają,
a zapalone główne pod same szczyty migają.

Anna wyciągnęła do niego ręce: „Zabij,
zabij, a ratuj moje dziecię!” a wiła się po
wzeglówiu, jakby ją wielka choroba napadła.

Tu zastukotało za ścianą, zatraskotało, aż

mur zachrapotał, i głos donośnie wrzasnął: „za
mną, za mną!”

„To on, to on!” schwyliła się Anna,

„On?” powtórzył Jakubowski, i odwrócił
się od żony.

Obraz Jeremiego zleciał, odwinęła się ma-

kata, i ukazał się Dymitr Mohyła, z dobytym mieczem, po kozaczu.

„Ha, psie zdrajco!“ — skoczył ku Jakubowskiemu, ale już żona stanęła przed nim, na palce się wspięła, ramiona wyciągnęła, aby go sobą zasłonić.

„Mnie zabij, mnie Dymitrze!“

„Ty go bronisz, wiarołomna! zdradna!“ — i już ramię z mieczem na cięcie przeżył.

Jakubowski odtrącił żonę. „Precz niewierna!“ I obadwa wrogowie mieczami się pocałowali, i tną się na dobre.

Ludzie Mohyły wyskakują z krytych drzwi. On woła: „Ani go tknąć, mnie zostawić!“ — dalej po zamku — i rabie!

Anna za nogi chwyta to męża, to Dymitra, przeraźliwym głosem błaga, oni ją włoczą po ziemi, odtrącają, a sami mordują się.

W zamku i na dziedzińcu i wszędzie bój, i pożar zaczyna dymem się kurzyć, płomykami buchać.

Mohyła ranny, ale i Jakubowski krwią zły już na ziemi słabym głosem woła: „Anno! Anno! nasz syn, ratuj!“ I u Anny matczyne serce drgnęło, ze szczęką, jęku i wrzasku, kwilenie dziecięcy zdało się dolatywać do uszów. Matka skoczyła do dziecka, a Mohyła ostatniem pchnięciem wyparł ducha życia z Jakubowskiego. „Gin, zdrajco!“ — i sam się zmógł, upadł, a jego ludzie wynieśli go na dziedziniec.

Na dziedzińcu jeszcze się mordują, a cały zamek już w płomieniach, sypią się iskry na wsze strony, trzeszczą i łomocą się belki i więzania.

Mohyła przyszedł do siebie i woła: „Anno! Anno! — gdzie ona jest? — drabin! za mną!“

Wtem w oknie narożnej wieży, pośród czerwonych płomieni, ukazała się niewiasta w bieli, z dzieciną u łona; mimo trzask i łomot, słysząc jej głos macierzyński: „Ratujcie! — słomy, słomy na dole!“

I w mig zniesiono słomy pod wieżę. Mohyła ramiona ku wieży wyciągnął. „Anno! Anno!“

Ona pochyliła się, rzuciła dziecinę, i tak była pochyloną mimo płomienie; dziecina padła, zakwiliła, na ręce ją wziął Kozak, i kilka głosów zawołało: „Zdrowe! zdrowe!“

Anna złożyła ręce, i słysząc było jej głos: „Dzięki ci Boże, dzięki wam ludzie! — Dymitrze, bądź opiekunem memu dziecku, — bądź zdrów!“ I zniknęła z okna, a czerwone łono płomieni zajęło jej miejsce.

Mohyła skoczył ku zamkowi. „Za mną, za mną! — Anno! moja Anno!“ — Daremna rzecz, zamek płonął, i w zgłiszczą się walił, a ludzie Mohyły do reszty załogę zamku wyrzynali.

Biały dzień zajaśniał; słońce wesoło, złoto weszło; zamek dogorywał, moc nieprzyjacielskich,

a niewiele kozacych trupów, po ziemi się wałało. Ludzie ci, co przyszli zsiół, i ci, co byli w więzieniu, i ci, co zostawali w służbie u pana Jakubowskiego, witali się, i wzajem sobie mówili: „Wszyscyśmy tego robili; jak gwałtem nam narzucili pana Jakubowskiego, tak gwałtem my go precz wyrzucili, a teraz niech żyje nasz rodzony pan Mohyła. I księża Bazylianie to hymny podziękowania, to pieśni pogrobowe na przemiany śpiewali; a Dymitr Mohyła stał jeszcze na dziedzińcu, pod barką tulił dziecinę Anny; czoło miał wzniesione ku rumowisku wieży, a w oczach gorzkie łzy.

Przeszły lata, na rumowiskach zgorzałego zamku, usypano mogiłę, i na tym mogilniku trupów ludzkich postawiono kaplicę na cześć pośmiertną Annie Jakubowskiej; na inném miejscu odbudowano zamek, nie taki jak dawny. — Dymitr Mohyła z królem Janem pod Wiedniem i w Węgrzech wojował Bisurmanów, potem został kozaczym atamanem, i z Mołodcami Podole obronił od bisurmańskiego napadu; a zawsze był przy nim młody Jakubowski. Mohyła powiadał i sobie i ludziom: „To mój wychowaniec, to syn Anny.“

Przeszły jeszcze lata mnogie a mnogie; wielkie miasto Słobodyszcze, nowy zamek i kaplica tak zniknęły, jak zamek stary. Niesłychać już o rodzinie Mohyłów w kozackiej ziemi; kozacza rodzina Jakubowskich gdzieś za Dnieprem się posiedliła. — Słobodyszcze z wielkiego miasta dziś nie ogromne sióło, a jednak tam wszyscy od starca do dziecięcia mówią, jak o wczorajszym wypadku, o Dymitrze, o Annie, o starym zamku i o dawnym ludu nadhnyłopiatskim.

Michał Czajkowski.

Teatr starożytny w Polsce, za panowania Władysława IV.

Przez Wł. R. Wejcieckiego.

(Od roku 1632. do 1648.)

Zajaśniała świetnie sztuka dramatyczna w czasach błęgiego panowania Władysława IV. Król ten sam od młodu szczególnie ją miłował, a gdy będąc królewiczem, odprawiał podróż w Europie, po zwiedzeniu Rzymu i miejsc świętych we Włoszech, Antwerpii i obozu sławnego Spinoli, przyjmowany wspaniale we Florencji od księcia panującego, gdzie jak Samuel z Skrzypny Twardowski pisze: (1) „sławę i cześć“

(1) Władysław IV., król polski i szwedzki. W Lesznie u Dan. Vetterusa, r. 1649. fol. minor.

„Codzienne turnieje gońców i szermierzów,
Pojednunki straszliwe zajuszonych zwierzków
Lwów, lampartów, niedźwiedzi, z brylanty dużymi.“

Znając upodobanie Władysława, dał świetne wystawy dwóch sztuk: tragedii o „Świętej Orszuli“, i komedii z tańcami i muzyką: *Wybauwienie Ruggiera z wyspy Alcyny*.“

Treść pierwszej, nieznaną mi wcale, daje wspomniony poeta:

„... Ludzkie dowcipy z Apoliny swymi,
Co mogły i umiały, czyniły gwałt sobie
W aktach różnych ku jego (2) zrzędzonych ozdobie.
A zwłaszcza tragedji o Orszuli świętej,
Z towarzyszek tak wielką od Atyle ściętej,
Króla Hunnów, przez różne sceniczne odmiany,
Na sali pałacowej reprezentowanej.
Wczem jako aparatom strojnym i kosztownym,
Tak personom sposobnym i słodko wymownym
Dank swój dawszy; z pod ziemię naprzód się otworzy
Piekło same, i Chao niezbadane stworzy.
Gdzie Pluto zapierzony, niżli co uknuje
Zwymi Demogorgony wielmożnie sejmuje.
Strasliwie tu majestat jego wyrażony,
Gdy ztąd stanął około wściekłe Tyzfony,
Głównie kurząc smolane, ztąd krwawe Megery,
Placzarode Meduzy, trójścześnie Chimery,
Noce czarne, sny głuche, zabójce szkarade,
Nędze chude, zle gniewy, śmierci różno blade;
Zębate Inwidy, szeżekające Lery,
I innych tam nieznanach furji zgiełk niezmierny,
Boku jego, i progów pilnują spiżanych,
Miećce hydry i węże ze łbów rozczochnanych.
A w nogach mu Cerberus, który gdy zaszczecha,
Zadrzy ziemia, i Calpe słyszy gdzieś daleka.
Więc co stanie w tej radzie: Radamant z Minosem,
Dekret srogi ferują, przeraźliwym głosem.
Aż, jako te widoki rozbiją się szare,
Wnet świat znów, i Kołno pokaże się stare;
Poza dawną, dużymi tłuczone tarany,
Ze się zrazów mrowie rozpierają ściągany,
I powietrze oświeci, z narzucenia wienców,
I pochodni smolanych. Słyszec obłężeńców
Placz rzewny, narzekanie bolejących matek
Pod ciężary swojemi. Zawrą na ostatek
Sam ten akt, z obłoku heroinki święte,
Głowy swe ukazując niemiennie ucięte,
W tryumfie od tyrańca.“

Drugiej, z włoskiego oryginału (jestto bowiem melodrama Saracinellego) mamy wyborny przekład S. Jagodyńskiego, który będąc naówczas dworzaninem królewicza Władysława, patrzył na jej świetną we Florencji wystawę. Powróciwszy z podróży, we trzy lata ogłosił drukiem w Krakowie 1628. Nic równego obok przekładu Jagodyńskiego postawić nie można z dawniej literatury, pod względem języka rozpieszczonego, miłosnego. Głoszono, że z czasów Stan. Augusta Szymanowski język miłości stworzył; ale najmniejszego porównania z Jagodyńskim nie wytrzyma. U tego język czysty, pełen ognia, życia, miętności, miękki i giętki, pieszczotliwy, a Szymanowskiego nie polski, zfrancuzały, wodnisty. Czytając *Wybauwienie Ruggiera*, nie chce się wierzyć, aby to był tak dawny przekład dramatu, każdego zdziwi język tak piękny,

tak rozumiwały, jakby świeżo z pod ręki znakomitego pisarza na świat puszczony.

Władysław zostawszy królem, niezapomniał o ulubionej rozrywce; w zamku warszawskim miał swój teatr stale urządzony, który Jarzemski, muzyk przyboczny króla, tak opisuje: (3)

„Mamże mówić o sali, gdzie się odprawują „wesela, i o pysznym teatrum, gdzie kome-
„dye i tragedye i skoki włoskie wyprawiają.
„Teatrum to jest zperspektywami budowane,
„zaczne w kolumny; tam kunszty podnoszą się, i
„schodzą na dół, inne szrubami w rozmaite obra-
„cają się strony; raz okazują ciemność z chmu-
„rami, znów przyjemną światłość, na wierzchu
„lazurowe niebo z słońcem albo miesiącem, gwia-
„dami i planetami. Tam ujrysz okropne piekło,
„i morze burzliwe, żeglują po nim łodzie, a sy-
„reny pływając ślicznie śpiewają. Tu persony
„spuszczają się z nieba, inne wychodzą z ziemi.
„Raptem otwiera się drzewo, wyskakuje z niego
„osoba cała w klejnotach, zutrefionym włosom,
„i śpiewa jak anioł. Następują inne sceny roz-
„mawiających z sobą, potem po włosku drgają
„nogami i skaczą, i wszystko to przy muzyce
„i klawicymbałach. Starszy nad muzyką, jak
„im da znak, rzną w skrzypki, aż się komedya
„skończy. Są tam okna, gdzie osoby siedzą,
„sala ogromna cała w kagańcach i świetle, a
„gości pełno w niej.“

To okazuje stan maszyneryi teatralnej ówczesnej, że była opera, balet, stała orkiestra, a w teatrze łoże. O stałych aktorach polskich niemam śladu: bo włoskich tancerzy, muzyków i śpiewaków jeszcze Zygmunt III. sprowadzał. W sztukach polskich dworzanie przyboczni przyjmowali rolę, a Władysław rad uczyć się na teatralne widowiska, urządzone z przepychem.

Roku 1635. w Warszawie po sejmie, wystawiano w opisanym wyżej teatrze komedya z muzyką: „*Dafnis przemieniona w drzewo bobkowe*“, przed obecnością króla, królewiczów i senatorów koronnych. Sztuka podzielona już nie na sprawy, ani części, ale na scen siedmnaście. Tłómaczenie tego z włoskiego dramatu Jeremiasza Paschati, mamy przez znakomitego poetę Samuela z Skrzypny Twardowskiego, poetę, który u nas stanowi epokę. Czy to tłómaczenie było odegranem, wątpię, gdyż obecna wystawa była w języku włoskim.

Zniesłychanym przepychem we dwa lata potem wystawiono, na tymże zamkowym teatrze, operę z recytatywami o świętej Cecylii (z włoskiego) w czasie wesela Władysława IV., z Cecylią z domu rakuskiego. Nic z tą wystawą nie mogło iść w porównanie; zgasała świetność „*Wypraw Ruggiera*“ i „*Dafnidy*“. Cudzoziemcy obecni, posłowie zagraniczni, przyznali zgodnie, że niewidzieli równego zbytku i przepychu teatralnego. Nieznam samęj poezyi, ale posiadam

(2) Władysława IV.

(3) Zbiór pamięt. o daw. Pols. T. 3.

w odpisie z rękopismu dawnego „*Sumariusz*,” czyli opis krótki, który dać może jakiekolwiek wyobrażenie. Pomieszczano tu rzeczy święte z mitologią, a co dziwnego, że gdy dzieła potępiano i niszczono, których treścią była mitologia grecka, czy rzymska (4), bezkarnie przecie na teatrze nadwornym uchodziło, by Apollo lub Kupidyn poprzedzał, lub kończył smutną scenę śmierci męczenników chrześcijańskich. Rękopism współczesny niemoże dosyć wychwalić muzyki, tańców i śpiewów, które słowiczeni nazywa przy wystawie pomienionego dramatu; a gdy z jednej strony płakano, patrząc na martwe zwłoki świętej Cecylii, dwa razy w szyję ciętej, gdy z nieba ukazują się dusze; rozweselił serca Apollo przy złotej cytrze, z gromadą pogańskich bogiń, śpiewając cnoty i dzielność oblubieńca Władysława, i urodę królowej Cecylii. „Szybkie zmiany de-„koracyj, które wystawiały pałace, grotty, morze „piekło i niebo, mile wszystkich oczy zajmo-„wały. Po operze dano balet: „*Gladyatoro-„wie*.” (5)

Po śmierci Cecylii Renaty, której zaślubiny z takim przepychem obchodzone; w dziewięć lat, kiedy Gdańsk w roku 1646. drugą oblubienicę Władysława IV., Maryą Ludwikę Gonzagę, z radością przyjmował, wystawiono i teatr.

Dnia 15. Lutego, we czwartek, grana była wielka opera, której cudowne maszyny i inne wydatki, kosztowały miasto sto tysięcy talarów. Wybudowane było umyślnie teatr, okrążone kilku galeryami, które wraz z parterem przeszło 3,000 osób mieściły. Muzycy królewscy wystawiali na nim historią miłości Kupidyna z Psychą, napisaną wierszem włoskim przez Wirgiliusza Puzytelli, poetę dworskiego.

Składała się ta sztuka z trzech aktów z prologiem, pełnym allegoryj pochlebnych królowej i stosownych do okoliczności. Po operze nastąpił balet cudny, złożony z orla białego, z czterema orłami czarnymi; na każdym z nich siedział mały Kupidynek; orły te za cel miały herb polski i Gonzagów. Dziwną było rzeczą widzieć je latające po powietrzu, i zachowujące ten sam porządek, i miarę tańca, jakby ziemi tykały. Wisiały na drótach tak cienkich, iż te niknęły przed oczyma. Zaszczyt tego wynalazku, jako też i innych machin najpiękniejszych, najokazalszych i najnaturalniejszych, jakie się widzieć mogą, należał panom Augustynowi Logi i Bartłomiejowi Bolzoni, inżynierom króla Władysława. (6)

(4) Tego prześladowania doznało dzieło Seba. Kłownicza (Acernus) „*Victoria Deorum*” 1600. r.

(5) Gabinet medalów pols. Ed. Raczyńskiego 1838. r. in 4to.

(6) Laboureur, podróż pani de Guebriant.

Kiedy z taką świetnością, z takim przepychem teatr dworski króla jasniał, po klasztorach i szkołach, w domach zamożniejszej szlachty i panów, grywano dyalogi i komedye, zwykle w mięsopusty. Jeżeli tragedye poświęcano historii świętej, za to dyalogi, komedye i tak zwane intermedia, nosiły barwę więcej narodową. Potrzeba jeno było wtedy wyższego talentu, a sztuka dramatyczna nabrałaby oddzielnego charakter i piętno właściwe polskie. Te to dyalogi, komedye i intermedia uważam za najpiękniejszy pomnik narodowych dramatów naszych, za wielki materiał do utworzenia sztuki, oddzielnej, samorodnej, polskiej, historycznej. Żywe obrazy zapomnianych figur tu oddychają ze starym językiem; w nich klecha, kantor, baskalarze, plebani, dworacy, żaki, żołnierze, ciurrowie obozowi, hajducy, towarzysze pancerni, pątnicy wędrowni, sołtysi, czarownice i guslarze; tyle stanów, co już z ziemi naszej przewiały na zawsze, a jednak do życia domowego przodków przyrośli, we właściwej ukazują się barwie. Nie ma tu żadnego naśladowania obczyzny, są to obrazy rodzime, własne. Figury te zamarłe, odżywcione dzisiaj ręką mistrzowską, ozdobiłyby scenę; rozbudzone allélujem XIX. wieku, nieodmieniają za prawdę języka, ale zmieniają stanowiska, i do wyższego interessu powołane być mogą. W dramacie nawet historycznym, czy w obrazach domowego pożycia naszych przodków, mogą odżyć; a dramat taki, jeśli się go doczekamy, będzie dopiero narodowym, bo będzie wiernym obrazem zapomnianego żywota przodków, i zmartwychwstaniem tych osób, które do tego obrazu są nieodstępniemi figurami.

Zpomiedzy wielu dzieł najważniejsze jest pod napisem: „*Bachanalia, czyli Dyalogi z intermediami na teatrach szkolnych, w jedno opus zebrane r. 1640.*” in 4to, które z opisu niedokładnego Juszyńskiego znamy.

Tych dyalogów przedmioty pospolicie brane były z dziejów ojczystych i z przypadków w kraju szczególnych. „Jeśli na scenę (pisze Juszyński) „wchodzili Gorale, dyalekt ich wiernie był oddany; jeśli rzecz była w Mazowszu, zwyczaj „i mowa mazowiecka zachowanemi były. Wszys-„stkie te sztuki miały cel dzisiejszy, to jest „krytykę i poprawę obyczajów. Baczno-„cielnika nieunudzi prostota mowy, to potrzebna „filologom, prowincjonalizmu znajomość. Za-„stanowią go trefne powieści, domowe zabawy „miejskie intryki, wiesniaków obejście, bo w tem „wszystkiem widzieć będzie ducha czasu, i cha-„rakter zwyczajów narodowych.”

(Dokończenie nastąpi.)